

COPYRIGHT © POLITYKA Spółdzielnia Pracy. Wszelkie prawa zastrzeżone.
Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne, opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

TEMAT TYGODNIA

- 10 Zdzisław Pietrasik **Igrzyska jako widowisko**
- 11 Marcin Piątek **Konrad Czerniak – pływak na medal**
- 13 Adam Krzemiński **Spór o obrzezanie – czyli o wszystko**
- 16 Robert Krasowski **Polska prawica nie oszalała – ma precyzyjny plan**
- 20 Jan Hartman **OGLĄD I POGLĄD Przestańmy karać za obrazę uczuć religijnych**
- 22 **ROZMOWA POLITYKI** Z przewodniczącym Klubu Parlamentarnego PO **Rafałem Grupińskim** o in vitro, koalicji z PSL i tożsamości Platformy

KRAJ

- 24 Joanna Cieśla **Jak i po co piwo sponsoruje wakacyjne imprezy**
- 27 Marcin Rotkiewicz **Skąd ta antyszczepionkowa histeria**
- 30 Edyta Gietka **Więź nam się cyfrzuje**

RYNEK

- 33 Cezary Kowanda **Parabanki – łatwe pieniądze, ale czy bezpieczne?**
- 36 Urszula Szyperska **W obronie lokatorów**

ŚWIAT

- 38 Aleksandra Lipczak **HISZPANIA Kryzys krezusom niestraszny**
- 42 Radosław Korzycki **USA Bushowie wrócą do Białego Domu?**
- 46 Jędrzej Winiecki **SYRIA Armia dezertersów**

HISTORIA

- 48 Jerzy Besala **Kryzysy unii polsko-litewskiej**

NAUKA

- 52 Rozmowa z dr **Catharine Conley** z NASA o zanieczyszczaniu planet naszymi mikroorganizmami
- 56 Jacek Kubiak **Spór o in vitro – nie mieszajmy ideologii z medycyną**

KULTURA

- 62 Mirosław Pęczak **Pół wieku od śmierci Marilyn Monroe, najważniejszej ikony popkultury**
- 65 **KAWIARNIA LITERACKA** Sylwia Chutnik
- 66 Piotr Stasiak **Gry wideo – czysta rozrywka już nie wystarcza**
- 69 **MEA PULPA** Kuby Wojewódzkiego
- 70 Bartek Chaciński **Mapa rock'n'rolla na ciele Iggy'ego Popa**

PÓŁPRZEWODNIK POLITYKI

- 72 Marek Mencina **WAKACJE Z PASJĄ Wędrowki po Wiśle i nie tylko**

LUDZIE I STYLE

- 76 Rozmowa z dr. **Andrzejem Pokrywką** o tym, jak wygląda praca łowców dopingu
- 80 Artur Domosławski **Narkomeksyk i narkokultura**
- 83 Rozmowa z liderem Raz, Dwa, Trzy **Adamem Nowakiem** o pożytkach z prostych piosenek

NA WŁASNE OCZY

- 92 Marta Zaraska **Gorączka złota w Ghanie**

STAŁE RUBRYKI

- 4 Mleczko i Mizerski • 5 Ludzie i wydarzenia
- 58 Afisz • 86 Fusy • 88 Stomma • 89 Passent
- 90 Do i od redakcji • 91 Tym • 98 Polityka i obyczaje



16 Jak działa prawicowy umysł



13 Obrzezanie stare jak świat



27 Straszanie szczepieniem

38 Hiszpańskie lato milionerów



62 Marilyn Monroe wiecznie żywa



72 Zamieszkać na rzece

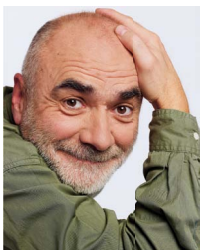


www.mleczko.pl

GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14; WARSZAWA, UL. MARSZAKOWSKA 140

ślawomir mizerski z życia sfer

felieton



Zbigniew Ziobro prezentuje

W koalicji zakończyła się afera z peeselowskimi taśmami, tymczasem w szeregach opozycji wybuchła afera pt. „Ziobro w TVN”. Afera ta po raz kolejny potwierdziła, że stacja TVN jest stacją cyniczną i nieobiektywną – stacją, która nawet polityka takiego jak Zbigniew Ziobro potrafi pokazać w sposób sympatyczny i pełen rodzinnego ciepła. Nie wiadomo, czy Ziobro wiedział, że TVN zamierza go zaprezentować w taki sposób i czy godził się na to. Szczerze mówiąc, zdjęcia użyte w poświęconym mu reportażu nie wyglądały na robione ukrytą kamerą. Występujący Ziobro musiał mieć świadomość, że jest filmowany, a jednak mimo to cały czas nie przestawał być przyjazny i sympatyczny, co zszokowało jego

niedawnych kolegów z PiS i wywołało ostrą, merytoryczną krytykę ze strony rzeczniczek tej partii Adama Hofmana.

Na łamach „Gazety Polskiej” Hofman ze smutkiem stwierdza, że idąc na współpracę z TVN, Ziobro zdradza i przechodzi „na drugą stronę”. Reportaż nie pozostawia wątpliwości, że osobiście wpuścił on ekipę TVN do mieszkania, a następnie robił wszystko, aby wydawać się człowiekiem nie-naburmuszonym, miłym wobec dziennikarzy. „Każdy, nawet polityk, pokazując się w towarzystwie urodziwej małżonki oraz dzieci, musi budzić sympatię” – przekonuje Hofman. Dlatego Ziobro, godząc się na wystąpienie w programie w towarzystwie żony i synka Jasia, musiał mieć świadomość, jak to się skończy. Mimo to nie zrobił nic, żeby temu zapobiec. Zachowywał się zenująco swobodnie, co chwilę podnosił do góry dziecko, bawił się z nim, nikomu nie przerywał, nikogo nie przekrzykiwał. Odnosiło się nawet przykre wrażenie,

że mówi własnymi słowami, na co Adam Hofman w stacji takiej jak TVN z pewnością nigdy by sobie nie pozwolił.

Trzeba z przykrością powiedzieć, że w wyniku ostrej krytyki pod adresem zwerbowanego Ziobry Adam Hofman stał się obiektem niewybrednych ataków. Ktoś posunął się nawet do ujawnienia informacji, że Hofman w ciągu ostatnich dwóch miesięcy sam był gościem TVN trzy razy. No cóż, jeśli informacja ta potwierdziłaby się, cała ta przykra sprawa postawiłaby Hofmana w sytuacji moralnie i politycznie dwuznacznej. Ale nie osądzajmy go pochopnie, bo może na współpracę poszedł w chwili słabości? A może po prostu myślał, że jest w jakiejś innej telewizji, a gdy zobaczył włączoną kamerę, nie mógł się już powstrzymać i zaczął mówić? Najważniejsze, że – jak zapewniam ci, co go w TVN widzieli – na wizji nie przeszedł „na drugą stronę” i nie posunął się do tego, żeby wzbudzić czyjąś sympatię.

„Ziobro musiał mieć świadomość, że jest filmowany przez TVN, a mimo to nie przestawał być przyjazny i sympatyczny, co zszokowało jego byłych kolegów z PiS.

Nie wisieć na króliku

Mariusz Janicki



Gdzie przebiega granica nepotyzmu, a gdzie – zdrowego rozsądku, tak aby nie popadać w absurd w drugą stronę? Krewni polityków, urzędników, prezesów i dyrektorów, a także członkowie różnych partii też gdzieś muszą pracować, aby utrzymać bliskich. Nie można przed nimi zamykać drogi do etatów także w sferze publicznej, bo byłaby to dyskryminacja. To, że ojciec i małżonek piastuje jakieś stanowisko, nie oznacza, że żona ma zostać gospodynią domową, a dzieciom pozostaje tylko sfera prywatnego biznesu, bo to z kolei byłby jakiś dziwaczny patriachal.

Dzieci często idą w ślady rodziców, bo dziedziczą podobne uzdolnienia i zainteresowania. Tak bywa w rodzinach prawniczych, lekarskich, artystycznych czy choćby dziennikarskich. Maciej Stuhr, na przykład, oprócz tego, że jest synem Jerzego, jest po prostu świetnym aktorem i do głowy nikomu nie przyjdzie zarzucać mu, że miał łatwiej. Także menedżerowie w państwowych spółkach powinni mieć prawo zatrudniać specjalistów spośród osób, które znają właśnie z profesjonalizmu, trudno im zabronić tworzenia ekipy, która ich zdaniem najlepiej poprowadzi firmę. Żądanie, żeby zawsze szukać na stanowisko osoby, której absolutnie nikt nie zna i która też nikogo nie zna, brzmi humorystycznie. Jeśli prywatny biznes – motywowany maksymalizacją zysku – może zatrudniać, kogo chce, kierownictwo państwowych firm

też powinno mieć tu jakąś swobodę. Nepotyzm pojawia się wtedy, kiedy ktoś jest zatrudniany tylko dlatego, że kogoś zna i że z racji takiego związku ma specjalne przywileje. Jasny i jawny powinien być system naboru, potem awansów. Zdolne dzieci, żony, mężowie i ciociotki „znanych i ważnych postaci” powinny mieć takie same szanse na zawodową karierę jak inni, ale tylko w wolnej konkurencji talentów, umiejętności i doświadczenia. Chodzi o to, aby krewni i znajomi

królika nie wisieli tylko na tym króliku, nie upatrywali w nim swojej jedynej szansy na jakąkolwiek posadę, bo są niezdolni, leniwi albo po prostu bezrobotni.

Nepotyzm jest też wtedy, kiedy do wydziału zajmującego się współpracą z zagranicą przyjmuje się człowieka nieznającego żadnego języka obcego, kiedy się podczas konkursów dodaje punkty wybranym osobom, nierzetelnie weryfikuje dane osobowe i dokumenty kandydatów czy odstępuje się od wcześniej ustalonych kryteriów konkursu, w wyniku czego np. wiceszefem centrum zarządzania kryzysowego zostaje osoba po pedagogice kulturalno-oświatowej, mimo że kilku innych kandydatów spełniało poprzednie warunki (autentyczne przypadki z raportów NIK). Wystarczy zatem stosować równe warunki, a wtedy niech sobie wygrywa i syn prezesa czy burmistrza. Słowem – ani przywileje, ani dyskryminacja.

Na kłopoty komitet

Adam Grzeszak



Afera z taśmami Serafina, poza politycznym trzęsieniem ziemi, może też mieć pewien skutek pozytywny. Wszyscy przypomnieli sobie nagle, że stanowiska w spółkach publicznych obsadzane są według kryteriów politycznych i rodzinnych, zamiast fachowych i merytorycznych. A przecież miało być inaczej. Obietnice w tej sprawie składał premier Donald Tusk i były minister skarbu Aleksander Grad (który, notabene, jest dziś oskarżany, że po znajomości dostał intratne stanowisko w państwowym biznesie).

Wprowadzenie nowego systemu nominowania fachowców do spółek Skarbu Państwa stawiał sobie za cel Jan Krzysztof Bielecki, szef Rady Gospodarczej przy premierze. Jego pomysłem było stworzenie Komitetu Nominacyjnego – gremium, które byłoby jakby komisją rekrutującą na stanowiska w państwowych spółkach (sam autor mówił o rodzaju firmy headhunterskiej). Wyciągnięto więc pośpiesznie projekt ustawy „o zasadach wykonywania niektórych uprawnień Skarbu Państwa”, który trafił do Sejmu w poprzedniej kadencji, ale po pierwszym czytaniu

znalazł się w „zamrażarce”. Mówiono, że był to efekt konfliktu między J.K. Bieleckim a ministrem Gradem i wspierającym go marszałkiem Schetyną. Teraz ustawa ma szansę szybkiego uchwalenia.

Komitet Nominacyjny (KN), z którym wiele osób wiąże nadzieje, jest jedną z instytucji przewidzianych w ustawie. Miałby składać się z 10 członków nominowanych przez premiera na 5-letnią kadencję z „uwzględnieniem ich wiedzy, doświadczenia lub autorytetu”. Kandydatów na członków KN mieliby zgłaszać ministrowie sektorów gospodarczych oraz przewodniczący Komisji Nadzoru Finansowego. KN, według projektu, ma być dodatkowym sitem, przez które przechodziliby kandydaci do rad nadzorczych reprezentujących Skarb Państwa. Komitet ma oceniać ich kompetencje i wydawać „rekommendacje”. Ustawa nie przewiduje jednak, by brak rekomendacji uniemożliwiał objęcie stanowiska. Wygląda więc na to, że w obecnej wersji będzie to ciało fasadowe, które niczego nie odpolityczni. Zwłaszcza że sam KN byłby nominowany przez premiera, a więc osobę jak najbardziej polityczną.

Ziobro w kontekście rodzinnym

Solidarna Polska, odchudzona nieco w zeszłym tygodniu partia Zbigniewa Ziobry, jesienią rusza z kampanią, która ma przysporzyć jej zwolenników. Były minister sprawiedliwości, groźny szeryf, pogromca korupcji i wszechobecnego układu, będzie ocieplał swój wizerunek. – *Szef zgodził się wystąpić na plakatach w kontekście ojcowskim i rodzinnym* – zdradza jeden z posłów SP. Ze Zbigniewem Ziobrą na billboardach pokaże się jego żona Patrycja Kotecka i synek Jaś. Szef SP podobno nie miał na to wielkiej ochoty, ale wie, że to broń, którą nie dysponuje jego główny konkurent polityczny Jarosław Kaczyński, i dlatego postanowił jej użyć.

Ziobro kiedyś sam w kampanii prezydenckiej namawiał Lecha Kaczyńskiego, by pokazał się na billboardach z żoną, córką Martą, wnuczką i zięciem. W jesiennej kampanii zamierza walczyć o młodych m.in. mówiąc o dodatkowych świadczeniach dla rodzin, powrocie do programu Rodzina na Swoim, konieczności zwiększenia liczby żłobków i przedszkoli oraz większych ulgach dla młodych rozpoczynających działalność gospodarczą. Szef SP to dziś najmłodszy partyjny lider i badania sugerują, że powinien uczynić z tego swój atut. To dobry kierunek, bo coraz większa część prawicowego elektoratu, choć darzy szacunkiem Jarosława Kaczyńskiego, zaczyna tracić nadzieję, że 63-letni lider, który przegrał tyle wyborów z rządu, zdoła jeszcze wyjść z opozycji. (DAB.)

Minister na próbę, koalicja na przetrwanie

Polityka bywa nieobliczalna i zaskakująca, ale tego, że główną ofiarą tak zwanych taśm Serafina okaże się być może młody Kalemba, syn nowego ministra rolnictwa Stanisława Kalemba, nikt się nie spodziewał. Młody Kalemba, którego wytropiono w jakimś oddziale Agencji Modernizacji i Restrukturyzacji Rolnictwa, ma odejść, aby tata mógł zostać ministrem bez skazy nepotyzmu. Wprawdzie w tej agencji pracuje od lat i przebył w niej długą drogę, od referenta poczynając, ale okazuje się, że teraz może powstać konflikt interesów i premier wolałby, aby do takich sytuacji nie dochodziło. I tak oto polityka prorodzina u ludowców zyskuje nowy wymiar. Syn musi się poświęcić dla nieoczekiwanej i w gruncie rzeczy dość wątpliwej kariery ojca. Nie wiem, czy sprawą nie powinna się zainteresować Helsińska Fundacja Praw Człowieka. Następuje tu chyba naruszenie podstawowych praw obywatelskich, nawet jeśli przyjąć, że politykom i ich rodzinom zdecydowanie mniej wolno. Młody Kalemba nie jest zresztą politykiem, a przynajmniej nic nie było o tym dotychczas słychać.

Itak oto tydzień, który mógł się okazać bardzo ważny w polityce, zwłaszcza dla premiera, dla całego układu rządzącego, zakończył się szukaniem nowej roboty dla młodego Kalemba. Tydzień mógł być ważny, bo koalicyjny mechanizm od dawna bardzo zgrzytał i była szansa na jakieś przesilenie. Nie żęby od razu zrywać koalicję, bo innej i tak się nie zmontuje, ale aby przynajmniej uzyskać od ludowców publiczne zapewnienie, że ten rodzaj polityki (chodzi zwłaszcza o partyjną politykę kadrową) się zmieni. Do ustalenia było zresztą sporo kwestii merytorycznych, choćby dotyczących opodatkowania rolnictwa, o czym się głównie mówi bez podejmowania konkretnych działań, czy przyszłości owych agencji, które stały się źródłem patologii. Rzecz bowiem nie w tym, aby wyrzucić z nich ludzi po kumotersku zatrudnionych (może część z nich się do tej pracy nadaje), ale aby strukturalnie uporządkować cały obszar wokół rolnictwa. Takiego komunikatu nie było. **S**uma zdarzeń jest zaś taka – lepszego ministra rolnictwa zastępuje, wedle powszechnej opinii, gorszy, pracę traci dwóch wiceministrów (nie bardzo



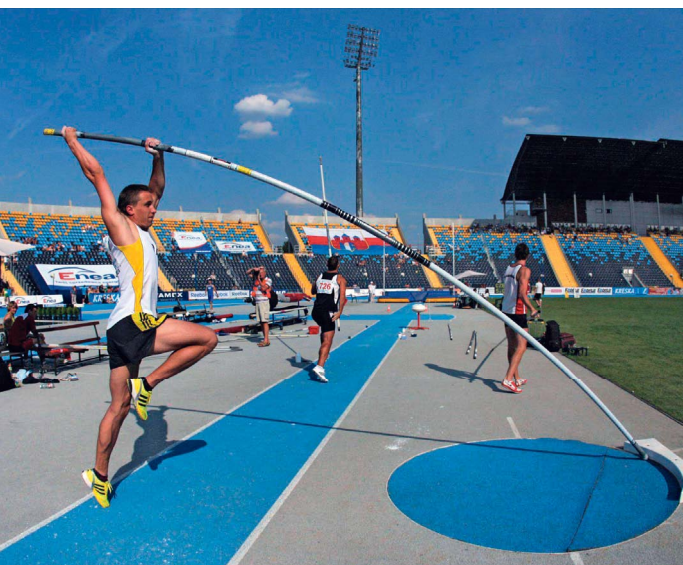
wiadomo za co – nepotyzm, kolosistwo, brak kompetencji czy próba ratowania twarzy przez premiera?) i ma nastąpić jakieś oczyszczenie. Premier bardzo szybko zrezygnował z kierowania Ministerstwem Rolnictwa i teraz zapewne będzie nim kierował wicepremier Waldemar Pawlak, którego nowy minister jest wiernym stronnikiem. Kalemba musi przecież odpokutować swój bunt sprzed lat, kiedy wziął udział w secesji z tymi, którzy są dziś najwierniejszymi stronnikami Jarosława Kaczyńskiego w PiS. Nowy minister też zresztą myśli jak PiS i dlatego przez członków tej partii jest bardzo chwalony. W dodatku jego pozycja jest na starcie bardzo słaba. Jest nie tylko powszechnie krytykowany za brak kompetencji potrzebnych akurat obecnie, gdy zaczyna się walka o europejski budżet, ale też premier bierze go właściwie na próbę, do końca roku. I mówi to publicznie. Polityk bardziej samodzielny w takiej sytuacji powinien raczej rzucić teką,

niż po nią sięgać. Kalemba już na początku żadnej samodzielności i charakteru nie wykazał. **D**laczego premier przerwał koalicyjny spór, który sam tak zaostrzył? Policzyl, w ilu województwach ludowcy mogą pozbawić PO władzy zmieniając koalicję, gdyby na szczęblu centralnym obecny układ się rozpadł? Lider partii musi to brać pod uwagę. Bał się ewentualnego rządu mniejszościowego, którego wizja zresztą nie wydawała się realna, bo Pawlakowi stanowisko wicepremiera przynajmniej do jesienno-kongresu jest niezbędne? Uznał, że i tak już „odpłacił” wicepremierowi za wcześniejsze gry i poníženia przy emeryturach? Te wszystkie okoliczności nie są nowe. Być może Tusk nie docenił Pawlaka, który po ciosie zebrał się szybko i uzyskał jednogłośnie poparcie władz swojej partii w sprawie nowego kandydata na ministra rolnictwa (co nie musi oznaczać siły Pawlaka na kongresie, bo tam skład delegatów będzie inny) i odpuścił rozdając już tylko kuksańce? Być może wiedział, że nie uzyska poparcia całej swojej partii, bo grupa tych, którzy chcieli raczej łagodzenia, niż zaostrzenia kursu, okazała się spora, a akceptacja dla Kalemba ze strony władz Klubu Parlamentarnego PO przyszła szybciej niż akceptacja premiera. Tak jakby wszyscy chcieli stawiać Tuska przed faktami dokonanyimi.

Nie ma gdzie biegać

Dyscyplinami lekkoatletycznymi zajmuje się w Polsce ok. 20 tys. sportowców, a w piłkę nożną gra ok. 300 tys. Nic więc dziwnego, że jak Polska długa i szeroka buduje się albo modernizuje stadiony piłkarskie. Ale czy jest szansa, że w niedalekiej przyszłości doczekamy się stadionu lekkoatletycznego z prawdziwego zdarzenia? Jedyny obiekt, którego nie wstyd pokazać przed światem, to 20-tysięczny stadion w Bydgoszczy – dobry na zawody krajowe oraz drugorzędne imprezy międzynarodowe, za mały jednak, by zorganizować na nim choćby mistrzostwa Europy. Samorządy finansują budowę obiektów na własną skalę – kilkudziesięc-

nych. W tym roku Polski Związek Lekkiej Atletyki wydał pozwolenie na organizację zawodów na nowych stadionach w Hrubieszowie, Inowrocławiu, Puławach, Łomży i Stalowej Woli. **N**adzieją dla wszystkich marzących o zaproszeniu do Polski lekkoatletycznej elity jest modernizowany Stadion Śląski – ma mieć bieżnię oraz boczny stadion treningowy. – *Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, budowa powinna zakończyć się w 2013 r.* – informuje Artur Winnicki, doradca ds. inwestycji w śląskim urzędzie marszałkowskim. Problem polega na tym, że budowa stoi od roku, gdy pękła jedna z lin mocujących dach. Niedługo na Śląskim pojawią się eksperci, którzy



© ARKADIUSZ WOJTAŚIEWICZ/AG

Coś się więc zaczęło i niewyraźnie skończyło. Zapewne wiele spraw odkłada się na czas po kongresie ludowców, kiedy poznamy i siłę wicepremiera, i siłę jego wewnętrznej opozycji. Premier tej partii jednak nie wygra, bo odium takiej afery i tak zawsze spada na silniejszego. Ostatecznie to raczej Pawlak, nawet upokorzony i zapewnijający, że nepotyzm i kumoterstwo także w jego partii będą się kończyć, raz jeszcze wyszedł na swoje, a premierowi pozostało ten dziwny kompromis ubierać w nadmiar słów o nieustępliwej walce z patologią nepotyzmu.

Polityczny sezon nie kończy się dla PO dobrze. Ma teraz opinię partii nazbyt konserwatywnej (in vitro, związki partnerskie) i antywolnościowej (ustawę ograniczającą wolność zgromadzeń też bierze na swoje konto, popierając lekko zmieniony przez Senat projekt prezydencki). Na dodatek kończy się przy rosnącym bezrobociu i widmie pogorszenia gospodarczej koniunktury. Tym ważniejsze może być zapowiadane nie na październik (jak w wywiadzie premiera dla POLITYKI), ale już na wrzesień otwarcie nowego sezonu. Wtedy zderzyć się mają wszystkie ofensywy – rządowe i opozycyjne. Premier o bardzo trudnej jesieni mówi od dawna i mówi to serio. Tym bardziej dziwią partie nierozegrane wówczas, kiedy była szansa, aby je skuteczniej zrograć.

do końca roku powinni wydać opinię, czy da się konstrukcję naprawić, czy trzeba ją rozebrać i stawiać od nowa. W najgorszym razie budowa zostanie wstrzymana, a urząd marszałkowski skieruje pozew przeciw projektantowi, wykonawcy lub obu naraz.

Prezes Polskiego Związku Lekkiej Atletyki Jerzy Skucha mówi, że są widoki na nowoczesny stadion w Warszawie. – *Choć nie większy niż trzydziestokilkutysięczny, z możliwością demontażu ponad połowy trybun, tak by na co dzień było go łatwiej utrzymać* – zastrzega. Rozważane są lokalizacje na terenach stołecznych klubów (Skra, Gwardia), a środki na budowę miałyby pochodzić z kasy miasta i budżetu państwa. – *Według naszych szacunków budowa nie powinna kosztować więcej niż 200 mln zł* – dodaje prezes Skucha. (M. PIĄT.)



© WOJCIECH STROZYK/REPORTER

Trzy i pół miesiąca cudu

Niespełna cztery miesiące po hucznej inauguracji, gigantycznej i kosztownej kampanii reklamowej, linia OLT Express złożyła wnioski o upadłość. Zostawiła na ziemi 130 tys. pasażerów, którzy kupili bilety i czekali na lot. Kiedy w marcu tego roku pisząc o powstającej linii („OLT to nie LOT”), wyraziłem opinię, że podejmuje ona hazardową grę, która może szybko się skończyć, nie podejrzewałem, że stanie się to aż tak szybko.

OLT próbował rozpoznać bojem krajowy rynek przewozów lotniczych. Rynek, który właściwie nie istnieje, bo niewielka sieć połączeń LOT i Eurolot służy głównie do dowożenia pasażerów do Warszawy na loty międzynarodowe. OLT próbował ten rynek stworzyć, oferując gęstą siatkę połączeń między polskimi miastami i sprzedając bilety po niskich cenach. Zmobilizował do walki konkurentów. Pasażerom bardzo się to podobało, bo przez chwilę mieli złudzenie, że możliwe jest funkcjonowanie normalnej linii z cenami jak u tanich przewoźników. Takie cuda na dłuższą metę nie są jednak możliwe. Zwłaszcza że pośpiesznie tworzona linia nie pilnowała kosztów, nie sprawdzała opłacalności połączeń, więc nie wszędzie udawało się zapełniać samoloty. Kiedy OLT próbował naprawiać błędy, było już za późno. Gdyby to był LOT, minister skarbu pewnie znalazłby sposób na pokrycie deficytu. Ale właściciel OLT, firma Amber Gold, doszedł do wniosku, że nie stać go na kontynuowanie kosztownego eksperymentu (30 mln zł strat w 3,5 miesiąca), choć wcześniej deklarował, że jest gotowy przez dwa lata pokrywać deficyt przewoźnika.

Być może ma to związek z kłopotami samego Amber Gold, kontrowersyjnego gdańskiego parobanku, przed którym ostrzega coraz głośniejsza Komisja Nadzoru Finansowego. Jeśli i jego biznes budowany jest w podobny sposób jak linii OLT, to nie dziwię się niepokoju KNF.

ADAM GRZESZAK

O Amber Gold i parobankach czytaj na s. 33.

Jan Koza



© JAN KOZA

Marsz na Brukselę

Wawrzyniec Smoczyński

komentarz

Grecja może opuścić strefę euro już we wrześniu, Hiszpania rozważa wniosek o pełen pakiet ratunkowy, tymczasem Europejski Bank Centralny szykuje się do wznowienia zakupu obligacji Włoch. Przywódcy machają z wakacji i jak zawsze zapewniają, że nie pozwolą na rozpad strefy euro. Jeden Mario Monti zdobył się na szczerość. „Słowa nadziei będzie można skierować do młodych dopiero za kilka lat” – rzekł premier Włoch. Dzisiejszych 20-latków, którzy zmagają się we Włoszech z 36-proc. bezrobociem, nazwał „straconym pokoleniem”, a swoje wysiłki sprowadził do „ograniczania strat”.

Cokolwiek uchwałę w tym tygodniu rządzący, choćby postanowili jutro połączyć budżety i dodrukować miliardy euro, największej bliźny kryzysu już nie usuną. Średnio 20 proc. młodych Europejczyków nie ma pracy, w Hiszpanii i Grecji aż 52 proc. Jeśli praca wraca, jak w Wielkiej Brytanii, to w postaci umów czasowych – ratunkiem



dla straconego pokolenia staje się prekariat, klasa stale zagrożona bezrobociem i biedą. Na Bliskim Wschodzie wystarczyło 26 proc. bezrobocia młodych, by puścić w ruch arabskie rewolucje. W Europie nie ma kogo obalać, ale słowa Montiego to pośrednio kapitulacja demokracji w starciu z kryzysem.

Regres młodych amortyzują jeszcze systemy społeczne, zwłaszcza sute emerytury rodziców, którzy utrzymują dzisiejszych prekariuszy. Ale co będzie, gdy ich zabraknie albo gdy rządy Grecji, Hiszpanii czy

Włoch sięgną do kieszeni emerytów? Zamiast obozować w stolicach przeciwko kapitalizmowi, młodzi powinni ruszyć na Brukselę z demonstracjami w obronie Europy. Młodzi Włosi i Hiszpanie powinni żądać od polityków jak najszybszej integracji gospodarczej, a młodych Niemców wzywać do solidarności, na którą nie stać ich rodziców. Zanim sami wyrosną na pokolenie stracone nie tylko dla dobrobytu, ale także dla demokracji.

Jamajka górą

W niedzielę 5 sierpnia na igrzyskach olimpijskich w Londynie ścigać się będą sprinterzy. Faworytem jest najszybszy człowiek świata, Jamajczyk **Usain Bolt** – jedynym realnym zagrożeniem jest... jego rodak **Yohan Blake**, z którym ostatnio Bolt dwukrotnie przegrał. Pograżenie gospodarzy na ich własnym terenie będzie dla kibiców z dawnej brytyjskiej kolonii symboliczne, bo akurat dzień później obchodzą święto niepodległości.

Choć od zniesienia kolonii minęło właśnie pół wieku, Jamajka wciąż nie poradziła sobie ze spadkiem po dawnym patronie. Nepotyzm, związki polityków z przestępczością zorganizowaną, homofobia, a nawet krykiet jako najpopularniejszy sport na wyspie – korzenie tego wszystkiego sięgają Londynu. W styczniowym exposé premier Portia Simpson Miller uderzyła w nacjonalistyczne tony, zapowiadając utworzenie republiki (dziś to monarchia konstytucyjna z Elżbietą II na czele), ale gdy niedługo później wyspę odwiedził książę Harry, pani premier padła mu w ramiona. Rozwodu nie będzie, ale radość z utarcia Anglikom nosa na ich terenie na pewno.

Więcej w wydaniu **POLITYKA** na iPada:



© AP/FEAST NEWS

Bóg popiera małżeństwa jednopłciowe

Brytyjscy konserwatyści też są za małżeństwami homoseksualnymi. A premier David Cameron wydał nawet niedawno w swojej siedzibie przyjęcie dla gejów, lesbijek, bi- i transseksualistów. Przyszli też duchowni anglikańscy. Jeden z nich, ks. dr Jeffrey John, głosi, że Bóg

popiera małżeństwa jednopłciowe, a Kościół Anglii robi źle, że się ociąga z ich akceptacją. W podobnym duchu przemówił premier Cameron. Jak to polityk, sięgnął po argument polityczny. Kościół anglikański popiera ten sam błąd co przez długie lata

moja własna partia, oświadczył. Wykluczając gejów, wykluczał tych wśród nich, którzy są z przekonania konserwatystami. Cameron powtórzył, że będzie walczył z pełną determinacją, by jeszcze w tej kadencji parlament zalegalizował małżeństwa homoseksualne.

W teledyskach za legalizacją wystąpił wicepremier Nick Clegg z koalicyjnej partii Liberalnych Demokratów oraz deputowani lewicy i prawicy. Zapowiedzi legalizacji takich małżeństw w bliskim terminie złożyła też wiceszefowa rządu Szkocji Nicola Sturgeon.

Dżihad-taksówkom dziękujemy

Władze Moskwy twierdzą, że po rosyjskiej stolicy jeździ 50 tys. taksówek, ale tylko 17 tys. to pojazdy z licencją. Pozostałe to stare rupiecie, w których za kółkiem siedzą osoby o przypadkowych umiejętnościach. Moskwanie nazywają je dżihad-taksówkami. Teraz, w ramach porządków, władze stolicy podniosły limit taksówkarskich licencji do 55 tys., ale nowelizacja ustawy o ruchu drogowym po raz pierwszy w historii ujednoliciła wygląd taksówek, umiejętności kierowców oraz pobierane opłaty. Moskwa wzorowała się tu, a jakże, na rozwiązaniach przyjętych w Nowym Jorku. W ramach walki z szarą strefą po taksówkach ma przyjść kolej na rynek nielegalnego wynajmu mieszkań. Według szacunków, w stolicy wynajmowanych jest ponad 100 tys. mieszkań, ale tylko 5 proc. lokali na podstawie legalnych umów, z których podatek zasila kasę miejską.

Evita na banknotach

W 60 rocznicę śmierci (zmarła w wieku 33 lat na raka) Eva Peron trafiła na argentyński banknot o nominale 100 peso. Jako pierwsza kobieta wśród wielkich narodowych postaci. Słynna Evita, piękna ulubienica ubogich, która pod tym imieniem weszła do popkultury, pochodząca z nizin śpiewaczka, była pierwszą damą u boku Juana Perona, rządzącego twardą ręką Argentyną w latach 1945–55. Od kiedy na czele państwa, wyznaczając precedensy, stoi inna silna kobieta osobowość **Cristina Kirchner**, już drugą kadencję kontynuująca prezydenturę



Amerykanie nie złożą broni

Mitt Romney podczas podróży po Europie zabawia swoimi gafami resztę świata, tymczasem w Ameryce nie cichnie dyskusja o kontroli nad bronią palną. Sprawca masakry w Denver nie powinien być dostać pozwolenia na broń, ale przede wszystkim nie zabiłby tylu osób, gdyby prawo nie zezwalało na sprzedaż broni półautomatycznej. Na całym świecie jest ona zarezerwowana dla wojska – tylko w Ameryce przemysł zbrojeniowy wywalczył dla obywateli prawo posiadania broni używanej zwykle na polu walki. James Holmes zabijał swoje ofiary m.in. z cywilnej wersji karabinu szturmowego M-16.

W posiadaniu Amerykanów jest 270 mln sztuk broni, czyli 89 na każdą setkę mieszkańców. Wbrew argumentom lobby strzeleckiego, nie zmniejszyło to przestępczości – przeciwnie, wskaźnik zabójstw z użyciem broni jest w USA wyższy niż w Meksyku, a od 1968 r. od kul zginęło ponad 1 mln Amerykanów. Mimo to kolejne stany poszerzają prawo do broni, zezwalając już nie tylko na trzymanie jej w domu, ale na noszenie przy sobie, także schowanej. Amunicja leży na półkach w supermarketach, dostępna jest też w Internecie – tam zaopatrzył się Holmes, by nie wzbudzać podejrzeń.

Czy następny prezydent USA przywróci uchylony w 2004 r. zakaz posiadania broni szturmowej? Barack Obama się do tego nie pali, bo większość Amerykanów jest przeciwko zakazowi. Romney, choć sam zabronił karabinów w Massachusetts, też nie zamierza go przywracać – nie chce podpaść Krajowemu Stowarzyszeniu Strzeleckiemu, które hojnie wspiera republikańskich kandydatów. Obaj pretendenci nie uciekną jednak od problemu – pierwsza debata prezydencka odbędzie się w październiku w Denver, nieopodal kina, gdzie doszło do niedawnej masakry.



po zmarłym mężu, kult Evity nabrał nowej, oficjalnej mocy. Nie tylko dlatego, że pani Kirchner należy do peronistowskiego nurtu. Evita w swojej ojczyźnie po latach przestała budzić dawne kontrowersje, a Cristinie miło jest ogrzewać się w blasku tej legendy.

Kirgiska branka

Kirgisy obrońcy praw człowieka protestowali w stolicy, Biszkeku, przeciwko atakaczu

– zwyczajowi porywania kobiet w celu matrymonialnym. Miejscowe organizacje pozarządowe twierdzą, że rocznie porywa się ich 14–25 tys., a ponad połowa nie zna przyszłego męża. Robi się tak głównie z chęci zaoszczędzenia pieniędzy na wianie

panny młodej, które w zależności od przymiotów osobistych, wykształcenia i statusu społecznego waha się od 500 do 10 tys. dol. To sumy nieosiągalne dla przeciętnego Kirgiza. Dlatego, zdaniem miejscowego ombudsmana, młodemu mężczyźnie

bardziej opłaca się porwanie. Tym bardziej że zwyczaj ten jest tolerowany przez milicję i prokuraturę, a w najgorszym przypadku kara za porwanie kobiety to trzy lata pozbawienia wolności. Niewiele, bo sprawcy kradzieży była grozi 11 lat więzienia.



Spokój olimpijski

Ceremonia otwarcia igrzysk w Londynie

© EAST NEWS

Szybciej, wyżej, silniej – tak brzmi wciąż obowiązująca dewiza igrzysk olimpijskich przyjęta sto lat temu. Dzisiaj należałoby jeszcze dopisać: więcej, efektowniej, dla szerszej publiczności.

ZDZISŁAW PIETRASIK

Sport jest przede wszystkim widowiskiem telewizyjnym. Ostatnie igrzyska olimpijskie zaczynają się od coraz bardziej imponujących ceremonii, a potem napięcie jeszcze rośnie. W Londynie inauguracyjny spektakl przygotował Danny Boyle, zdobywca Oscara za film „Slumdog. Milioner z ulicy” – teraz mógłby być nagrodzony przez Amerykańską Akademię po raz drugi. Reżyser zaprezentował Wielką Brytanię jako kulturalne imperium, z długim i epickim rysem historycznym i całą panoramą cytatów – od Szekspira, przez Beatlesów, po Harry’ego Pottera i clubbing. (Ciekawe, jak my byśmy pokazali się światu, gdyby kiedyś w Warszawie odbywały się igrzyska...).

Nie brakowało po ceremonii otwarcia głosów entuzjazmu – włącznie z tym, by królowa Elżbieta II (dla której Boyle wymyślił dość zaskakującą rolę w cere-

monii – lot śmigłowcem w towarzystwie Jamesa Bonda i skok ze spadochronem) przyznała reżyserowi tytuł szlachecki. Pochwała brytyjskiej służby zdrowia i sposób prezentacji historii Londynu wywołały komentarze polityczne. Z lewicy – że za pieniądze torysów Boyle urządził prezentację wszystkich tych wartości, których torysi nie lubią. Z prawicy – że przygotował bardziej lewacką ceremonię otwarcia niż ta w Pekinie.

Przed laty znani twórcy kręcili filmy podczas igrzysk, niektórzy przeszli do historii kina (jak choćby słynny film Kon Ichikawy „Olimpiada w Tokio” z 1964 r.). Dzisiaj film toczy się na oczach widzów – już w trakcie trwania zawodów. Dla potrzeb kamer zmienia się regulamin gier (choćby siatkówki), ale też dzięki kamerom konkurencje tak mało widowiskowe, jak chociażby strzelanie z karabinka pneu-

matycznego, mogą się stać się porywającym spektaklem (zwłaszcza kiedy Polka walczy o medal). W bliskich planach oglądamy łączy radości, ale też smutek pokonanych. Można sto razy powtarzać, że liczy się samo uczestnictwo w zawodach, ale wiadomo, że zwycięzca bierze wszystko.

Kultura masowa potrzebuje wciąż nowych bohaterów, i sport, zwłaszcza w wydaniu olimpijskim, ma ich obficie dostarczyć. A jednak coś z idei barona Pierre’a de Coubertina do czasów dzisiejszych przetrwało: mimo mnogości zawodów, rozmaitych lig światowych i pucharów, rozgrywane raz na cztery lata igrzyska zachowały szczególny charakter i nie ma powodu nie wierzyć wyczynowcom, którzy zapewniali, że medal olimpijski ma szczególny wymiar. Nie tylko dlatego, że te wręczone w Londynie są wyjątkowo ciężkie.

Skoro igrzyska mają przypominać wielkie kino akcji, nie może zabraknąć zaskakujących zwrotów, nieoczekiwanych porażek i nieprzewidywanych zwycięstw. W jednej chwili na oczach miliarda widzów rodzą się nowe gwiazdy i odwrotnie, dawni mistrzowie w niesławie schodzą z areny, z niewielkimi szansami na powrót. Kilka niespodzianek już w Londynie mieliśmy. Oto piłkarze hiszpańscy, z kilkoma uczestnikami ostatniego Euro w składzie, najwięksi obok Brazylijczyków faworyci zawodów, przegrywają dwa pierwsze mecze i jadą do domu. Nawet genialny amerykański pływak Michael Phelps był dopiero czwarty w pierwszym starcie, co trafnie skomentował sprawozdawca telewizyjny: „Michael przegrał, ale udowodnił, że jest tylko człowiekiem”. Sam zawodnik napisał zaś na Twitterze: „Nie jestem zadowolony z mojego wyniku. Ale jutro jest nowy dzień i nowy wyścig”. Scarlett O’Hara nie powiedziałaby ładniej.

Pływak Konrad Czerniak jest jedną z naszych nadziei. Może trochę na wyrost. Ale my też przeżyliśmy pierwsze rozczarowania. Zawiodły florecistki, wioślarze, nasza dawna mistrzyni pływalni Otylia Jędrzejczak była dopiero 25, ale to wszystko drobne wpadki wobec spektakularnej klęski Agnieszki Radwańskiej. Tenisistka, którą po niedawnym rewelacyjnym występie na kortach Wimbledonu wszyscy widzieli już na podium, przegrała w pierwszym meczu z Niemką, i to zasłużenie. Natychmiast pojawiły się komentarze, że zadziałała klątwa chorążego (pani Agnieszka niosła naszą flagę podczas prezentacji drużyn), ale chyba sama zawodniczka w to nie wierzy. Może się zrehabilitować w deblu i mikście.

Nieoczekiwanie naszą gwiazdą pierwszych dni igrzysk została Sylwia Bogacka, zdobywczyni srebrnego medalu w strzelaniu z karabinka pneumatycznego. Jak się okazało – znowu dzięki telewizji – to sympatyczna dziewczyna, która umie spontanicznie się cieszyć i bezpretensjonalnie o tym opowiadać. Bardzo dobrze zaprezentowali się siatkarze. Jesteśmy w stanie przeżyć każdą klęskę – tak jak wyjątkowo bezboleśnie potraktowaliśmy blamaż piłkarzy podczas Euro – ale chłopcy trenowani przez włoskiego trenera nie mogą nam tego zrobić. Tym bardziej że kibicują im nie tylko rodacy przed telewizorami, ale też Polacy mieszkający w Londynie, którzy masowo pojawili się już na pierwszym meczu i zaśpiewali na znaną melodię „Gramy u siebie, Polacy gramy u siebie”.

Ponadto na grad medali raczej nie mamy co liczyć. Konkurencja jest coraz większa. Wydaje się, że nasi kibice doskonale zdają sobie z tego sprawę. Więc zachowujemy olimpijski spokój. Na szczęście doczekaliśmy czasów, w których już nie tylko sportowcom powierzamy honor Polaków. ■

Delfin z cienia

Konrad Czerniak, pływak na fali wznoszącej. Na tyle, żeby już w Londynie prześcignąć legendarnego Phelpsa?



© AP/EP/ST NEWS

MARCIN PIĄTEK

Mistrz Michael Phelps już nie straszy, jak cztery lata temu w Pekinie, kiedy zgodnie z planem osiem razy sięgał po złoto, wznosząc sobie pomnik sportowca wszech czasów. Na olimpijskiej pływalni w Londynie obowiązuje więc hasło: bić mistrza. Każda jego porażka jest wydarzeniem, każdemu z jego pogromców przysporzy sławy. Wśród pretendentów jest Konrad Czerniak. Zmierza się na 100 m delfinem.

Przymiarka miała miejsce niemal dokładnie rok temu. Na mistrzostwach świata w Szanghaju spotkali się w finale. Obrali podobną taktykę: pierwsza pięćdziesiątka spokojnie, w drugiej – gaz do dechy. Phelps wygrał o prawie pół sekundy. Jak na sprinterski dystans to dużo, ale Konrad rósł z każdym wyścigiem, śrubował rekordy życiowe i kraju. Z polskiej ekipy tylko jemu udało się w Szanghaju stanąć na podium. Eksperci komentowali: poza Konradem liczy się dziś w świecie tylko grzbieciasta Radosław Kawęcki – oto potencjał polskiego pływania, które jeszcze niedawno miało być naszym sportem narodowym.

Od tamtego srebra życie Konrada dzieli się na: przed Szanghajem i po. A jak po Szanghaju, to w cieniu Phelpsa. Czy podpatruje metody Michaela? Czy

go podziwia? Kiedy go pokona? Jaki ma na niego sposób? Czy Phelps jest cyborgiem? I tak dalej, z podtekstem, że Konrad świeci światłem odbitym. – *Nie robimy planów „pod Phelpsa” ani żadnego innego zawodnika. Z każdego treningu staramy się wyjść z poczuciem dobrze wykonanego obowiązku – ucina Bartosz Kizierowski, trener Konrada, jeszcze niedawno świetny sprinter.*

Płuca bez dna

Przypadek Konrada dowodzi, jakie znaczenie w wychowaniu sportowca ma praca u podstaw i harmonijny rozwój. – *Mam szczęście, że u mnie trenuje – uważa Kizierowski. – Napędza nas to, że cały czas idziemy do przodu. Nie musimy naprawiać błędów z przeszłości, bo ich po prostu nie było. Trener Ryszard Kowalczyk wykonał z Konradem w Puławach kawał świetnej roboty.*

Obróbka młodych talentów to delikatne rzemiosło. Trzeba cierpliwości, spokoju, zrozumienia, wyczucia – u wielu polskich trenerów to są cechy deficytowe. Łatwo ulegają pędowi do medali, licytują się na nie w swoim gronie. – *Jak trener jest bezmyślny, to pakuje młodemu ciężary, stoi nad nim ze stoperem jak z batem. Serce nie nadąza i jest po talencie. Konrada prowadziliśmy spokojnie, krok po kroczku. Siłowni prawie w ogóle nie robiliśmy, tylko technikę i trening tlenowy, żeby nie zniszczyć tego, co mu* ▶

► *dała natura, czyli płuc bez dna* – mówi trener Kowalczyk.

Do historii człowieka, który ma szansę stać się legendą pływania, choćby w naszym, polskim wymiarze, pasowałaby podszyta heroizmem bajka o cudownym dziecku, które zawsze wyrastało ponad rówieśników, ale z Konradem tak nie było. Wprawdzie mama Barbara wspomina, że gdy jako 5-latek zaczynał swoją przygodę z pływaniem, pod wpływem starszych kuzynów, od razu został wrzucony na głęboką wodę (w sensie ścisłym, bo nie było wtedy jeszcze w Puławach wielkiego wyboru basenów – teraz są trzy). I poradził sobie, wypłynął na powierzchnię. – *Więc gdy mnie ktoś pyta, czy miał smykankę, to chyba tak* – śmieje się mama.

Zaczynał w gronie kilkunastu kolegów. Na początku liceum (zwykłego, nie sportowego, bo Konrad się uparł, że z Puław

ry w stolicy Hiszpanii założył rodzinę. W świątku polskich fachowców od pływania kwestionowano ideę tworzenia specjalnej, eksterytorialnej komórki do szkolenia sprinterów – i to jeszcze na dodatek pod okiem Kizierowskiego, trenera młodego i ukształtowanego w amerykańskiej szkole pływania. Jego kompetencji nie podważano, jednak pojawiły się sugestie, że jeśli mu tak zależy na pracy ze sprinterami, niech się przeprowadzi do Polski. Ale prezes pływackiego związku Krzysztof Usielski uparł się, że wiedza, ambicje i znajomości Bartosza są bezcenne. I jak nie chce się z Hiszpanii ruszać, to trzeba pójść mu na rękę.

Nie wszystkim się podobało, że Konrad po maturze przeprowadził się do Madrytu. Ale z Bartkiem szybko znaleźli wspólny język. Obaj układni, inteligentni, wyważeni w sądach, kulturalni: proszę,

w trenerskich konferencjach, wymieniam doświadczenia z kolegami po fachu, również z kraju, gdzie przecież mamy wielu świetnych fachowców – opowiada. Kizierowski uważa również, że nie ma co dorabiać ideologii do faktu, że po Otylii i Korzeniowskim doczekaliśmy się kolejnego mistrza w delfinie. – *To nie polska szkoła stylu, ale czysty zbieg okoliczności. Każde z nich zaczynało z innym trenerem, różnią się techniką.*

Pływak na Rio

Dla Konrada to pierwsze igrzyska. I od razu rzucony w centrum wydarzeń. Jest presja, nie ma dwóch zdań, uważa Barbara Czerniak. Szkoła trochę, że nie udało się zapaść do Pekinu, oswoiłby się z klimatem takiej imprezy. – *Ale jak się miało udać, skoro podczas mistrzostw Polski będących olimpijskimi kwalifi-*

Konrad już zaszedł wysoko, ale nie jest dziełem skończonym i dobrze o tym wie.

Właściwie każdy element swojej techniki może jeszcze poprawić.

nie wyjedzie) zostało ich pięciu. – *Wtedy przyszli do mnie. Gdybym powiedział, że Konrad się wyróżniał, tobym skłamał* – trener Kowalczyk sięga do podniszczonego kajetu, w którym ma notatki dotyczące swoich podopiecznych. – *Zajmował na zawodach miejsca pod koniec drugiej dziesiątki albo jeszcze gorsze. Ale się nie zniechęcał.*

Koledzy rezygnowali, a on trwał – w końcu doszło do tego, że przychodził na treningi sam. Ryszard Kowalczyk mówi, że ta wytrwałość Konrada była godna podziwu, zwłaszcza że odstawał od rówieśników fizycznie. – *Dziś to kawał chłopca, ale bardzo długo mieścił mi się pod pachą. Aż się dziwiłem, że tak długo nie rośnie. Ale sylwetkę miał do pływania wymarzoną – ręce długie, kości lekkie, w biodrach cienki, w barach szeroki* – mówi Kowalczyk.

Pierwsze dowody, że trud się opłaca, przyszły dopiero po trzech latach wspólnej pracy, na olimpiadzie młodzieży w Łodzi. – *Wygrywał techniką i wydolnością. Jak tylko z tego robił wyniki, to już wiedziałem, że kiedy dołoży siłę, to będzie kozak. No i jest* – cieszy się Kowalczyk. Dobre nawyki nie zginęły – gdy w 2010 r. Światowa Federacja Pływacka (FINA) położyła kres wyścigowi zbrojeń i zakazała używania kostiumów z tworzyw sztucznych, poprawiających wyporność pływaków, Konradowi to nie zaszkodziło, bo on nigdy nie pływał tępą siłą, tylko stylowo.

Hiszpańska szkoła

Od trzech lat Konrad mieszka w Madrycie, gdzie studiuje wychowanie fizyczne na jednym z uniwersytetów i trenuje w grupie Bartosza Kizierowskiego, któ-

przepraszam, dziękuję. Srebro w Szanghaju było potwierdzeniem, że współpraca się układa. – *Bartek wyrobił u Konrada poczucie sportowej wartości. Spędził w Stanach prawie 10 lat i przesiąkł tamtejszym stylem pracy, zgodnie z którym zawodnik jest najważniejszy i w kółko powtarza mu się, że jak chce, może przenosić góry* – mówi mama Barbara, której pasja Konrada się udzieliła i w związku z tym wie, że nawet Phelps by nie wygrał, gdyby sobie nie wmówił, że jest poza zasięgiem konkurentów.

Ameryka jest dla wielu polskich pływaków ziemią obiecaną. – *Trening w wodzie to zawsze mordęga, tylko że tam trener jest dla zawodnika, a nie zawodnik dla trenera, jak często u nas* – uważa Ryszard Kowalczyk. Polscy szkoleniowcy są wyznawcami pruskiego drylu, to na ogół surowi belfrzy – pierwsi do rozkazów, ostatni do pochwał. Na dłuższą metę napięcia są w takim układzie ciężkie do zniesienia. Więc mistrzowie odchodzą od swoich nauczycieli: Otylia Jędrzejczak i Paweł Korzeniowski zostawili Pawła Słomińskiego, Mateusz Sawrymowicz opuścił Mirosława Drozda, a inny z jego podopiecznych, Przemysław Stańczyk, niedawno oznajmił, że czuje się wypalony i już do sportu nie wróci.

Amerykanie o pływackie gwiazdy zabiegają, by podnieść poziom rywalizacji w grupie. Otylia, zanim przeniosła się do Madrytu, spędziła za oceanem kilka miesięcy. Mateusz Sawrymowicz przygotowywał się do londyńskich igrzysk w Kalifornii.

Kizierowski jednak nie lubi być szulardkowany jako wyznawca tamtejszej szkoły. – *Cały czas się uczę, biorę udział*

kacjami przed wyścigiem Konrada trzy razy gasła tablica odmierzająca czas. Zawodnicy wskakiwali do wody, sprzęt nawalał, wychodzili na słupki – i tak trzy razy – wspomina. Paweł Korzeniowski w końcu machnął ręką i powiedział, że tak to się nie bawi. Konradowi zdeenerowanie też się udzieliło, brakło mu do minimum ułamek sekundy.

Trener Kowalczyk uważa jednak, że tamto niepowodzenie nie ma znaczenia. – *On był wtedy młokos jeszcze, półzawodowiec. Pod okiem Bartka dojrzał, zmężniał. A najlepsze jest to, że złoty wiek dla sprintera to 27–30 lat. A Konrad w tym roku skończył 23. Rio de Janeiro – to mogą być jego igrzyska* – prorokuje.

Kizierowski też jest optymistą: – *Konrad już zaszedł wysoko, ale nie jest dziełem skończonym i dobrze o tym wie. Właściwie każdy element techniki może jeszcze poprawić.* To dobra perspektywa.

Sukces w Londynie znów zmusi Konrada do wyjścia z cienia, gdzie czuje się najlepiej. Namiastkę sławy przeżył już po Szanghaju – choć do kraju wpadał jak po ogień, musiał znaleźć czas i na wywiady do sportowych gazet, i na wizyty w telewizjach śniadaniowych (u boku mamy). Trener Kowalczyk jest zdania, że takie pretencje też mu się przyda. – *Widzę, że nie boi się mówić, co myśli, a pewność siebie raczej w sporcie pomaga, niż szkodzi.*

MARCIN PIĄTEK

Relacja Marcina Piątki z igrzysk w Londynie na:

WWW.POLITYKA.PL

Ciąć czy nie ciąć

Niespodziewanie najgorętszym tematem tego lata za Odrą stał się spór o obrzezanie. Czyli właściwie o wszystko.

ADAM KRZEMIŃSKI



© BPK/BE&W

Sprawa rytuału obrzezania, z chichtliwego tematu ogórkowego, w ciągu kilku tygodni przerodziła się w podobną burzę jak w 1995 r. spór o krzyże w pomieszczeniach publicznych, w 1999 r. o prawo nauczycielek-muzułmank do noszenia w szkołach chust na głowach, w 2006 r. spór o minarety czy o uwzględnienie przez niemieckie sądy w sprawach obyczajowych szariatu – prawa muzułmańskiego.

Jeśli dodać jeszcze spór o celibat, molestowanie uczniów przez księży i pastorów, o granice prawa do krytyki i karykaturowania symboli religijnych i o ochronę uczuć religijnych przed bluźnierstwem, to można powiedzieć, że w Niemczech toczy się nowy Kulturkampf – walka o miejsce religii w świeckim państwie.

Zacząło się od językowego nieporozumienia. 4 listopada 2010 r. w kolońskim gabinecie syryjskiego lekarza Omara Keze przy miejscowym znieczuleniu obrzezany został czteroletni Ali al-Akbar. Na-

stępnego dnia rano matka, niedowidząca 39-letnia Tunezyjka, zbyt wcześnie zdjęła chłopcu opatrunek i przestraszona krwawieniem wybiegła w piżamie na ulicę wołając coś po arabsku. Przechodnie wezwali karetkę. Gdy w szpitalu lekarze tamowali krwotok, matka wypadła z drugiego piętra. Poranioną zawieziono do szpitala psychiatrycznego. Dziś wraz z synem prawdopodobnie mieszka w Tunezji.

Na początku 2011 r. prokurator wytoczył lekarzowi sprawę o uszkodzenie ciała. Z medycznego punktu widzenia lekarz był w porządku, więc sąd pierwszej instancji sprawę oddalił. Również w drugiej instancji, w maju 2012 r., sąd krajowy w Kolonii nie dopatrzył się winy lekarza. Niemniej obrzezanie uznał za trwałe i nieodwracalne naruszenie ciała, a więc sprzeczne z prawem.

Ta sentencja wywołała oburzenie w środowiskach żydowskich i muzułmańskich. W popularnym talk-show Anne Will berliński rabin Yitshak Ehrenberg zestawiał koloński werdykt z Ho-

„Obrzezanie”, obraz
Marco Marcoliego z XVIII w.

locaustem, co było szytym grubą nicią moralnym nadużyciem.

Sprawa tak dalece zaczęła szkodzić wizerunkowi Republiki Federalnej, że Angela Merkel przestrzegła przed wystawianiem się Niemców na pośmiewisko jako narodu dziwaków. Aby uspokoić atmosferę, Bundestag chce pospiesznie ogłosić, że ze względów religijnych obrzezanie jest w Niemczech dozwolone. Niemniej minister sprawiedliwości przestrzega, że sprawy nie da się załatwić na chybcika. Konieczna jest wszechstronna analiza przez Trybunał Konstytucyjny.

Tymczasem drobna na pozór sprawa przerodziła się w ostrą debatę na temat miejsca religii w świeckim państwie, praw boskich i ludzkich, etnografii i historii, psychologii i medycyny, pedagogiki i moralności w coraz bardziej świeckim społeczeństwie. ▶

► Sceptycy twierdzą: obrzezanie jest sprzeczne z naturą. Historyk religii odpowie: może, ale jest starsze niż islam, chrześcijaństwo i judaizm, i jego racjonalnych przyczyn można się tylko domyślać, projektując naszą wiedzę na zamierzczłe czasy sprzed 4, a może nawet 15 tys. lat.

Medycy przypuszczają, że obrzezanie było sposobem zapobieżenia chorobom wynikającym z per-manentnym brudu.

Etnografowie dopowiadają, że napletek nie był już przydatny, gdy mężczyzna przestał się nago przedzierać przez krzaki, a na początku patriarchy pozbawiony „kobiecej” fałdy członek zaczął być obiektem kultu męskości. Potem, oglądając staroegipskie malowidła, wysnuto, że obrzezaniem piętnowano jeńców i niewolników. Był to jakoby akt symbolicznej kastracji. I wreszcie religioznawcy akcentują, że obrzezanie jest fundamentalnym – jak zapisano w Biblii – przejściem od składania Bogu ofiar z pierworodnego syna do symbolicznej tylko ofiary krwi. Jahwe powstrzymuje Abrahama przed zabiciem Izaaka zadowolając się jedynie kawałkiem jego skóry.

Od czasów Freuda bardziej skomplikowane wyjaśnienia podsuwają psychologowie głębi i antropolodzy. Akt obrzezania – wywodzą – poprzez rytualne zadanie bólu tworzy patriarchalną strukturę, w której lęk przed kastracją umożliwia kontrolę nad seksualnością we własnej grupie i zarazem przekierunkowuje agresję na zewnątrz – przeciwko obcym.

W czasach nowożytnych obrzezanie, poza motywacją religijną, uzasadniano w najróżniejsze, niekiedy przeciwstawne, sposoby. W wiktoriańskiej Anglii i purytańskich Stanach Zjednoczonych uważano je za dobry sposób przeciwko masturbacji, ponieważ osłabiając wrażliwość członka zmniejsza też jakoby popęd seksualny. Ale też tłumaczono dokładnie odwrotnie: obrzezanie zwiększa wytrzymałość seksualną.

I dziś nie brak autorytetów dowodzących, że obrzezanie jest zabiegiem higienicznym, bo w dużej mierze chroni przed rakiem członka i szyjki macicy. Akurat w tych dniach, jakby na przekór kolońskim prawnikom, amerykańska minister sekretarz stanu Hillary Clinton na XIX kongresie w sprawie AIDS zalecała obrzezanie. Natychmiast usłyszała replikę, że w Afryce aż w 38 proc. przypadków dochodzi po zabiegu do powikłań. I wierz tu ekspertom.

Jak go zwał, tak go zwał. Obrzezanie pozostaje jednym z najstarszych zabiegów w dziejach ludzkości, któremu w różnych epokach, regionach, religiach i kulturach przypisywano bardzo różne znaczenie religijne i zdrowotne.

Sceptycy twierdzą: obrzezanie jest sprzeczne z naturą. Historyk religii odpowie: może, ale jest starsze niż islam, chrześcijaństwo i judaizm, bo praktykowane już 4, a może nawet 15 tys. lat temu.



Relief przedstawiający obrzezanie odkryty na egipskim grobowcu w Sakkarze (około 2,3 tys.–2,2 tys. lat p.n.e.).

Stąd do obecnego sporu szybko włączyli się filozofowie i prawnicy, lekarze i teolodzy, międzynarodowe sławy i nieznanymi autorzy listów do redakcji oraz internetowych postów. Koloński werdykt uruchomił kolejną odsłonę zderzenia cywilizacji świeckiej i religijnej, które ma miejsce chyba w każdym społeczeństwie europejskim.

Według sondaży aż 48 proc. Niemców jednoznacznie pochwała stanowisko kolońskich sędziów, a 40 proc. zdecydowanie je odrzuca. Reszta się waha. Wśród krytyków są również przedstawiciele Kościołów chrześcijańskich, co tworzy znamienity sojusz trzech religii abrahamicznych w sporze z wulgarnym racjonalizmem – cieszy się Navid Kermani, niemiecko-irański pisarz i germanista.

Znany katolicki filozof Robert Spaemann kryminalizację obrzezania przez sąd koloński uważa za bezprzykładny atak na tożsamość religijnych rodzin. Przyznaje, że dotyka ono trzech zasadniczych

praw obywatelskich: prawa rodziców do wychowywania dzieci, prawa do kultu religijnego i prawa do nienaruszalności cielesnej.

• Prawa rodzicielskie są zapisane w konstytucji. Rodzice tracą je, gdy podejmują decyzje, które nie mają na uwadze dobra dziecka.

• Obrzezanie jako rytuał inicjacyjny włącza dziecko do wspólnoty, która określa siebie poprzez przynależność religijną i etniczną. Dla wierzącego Żyda jest to symboliczny akt spełnienia objawionej woli Boga. Dla muzułmanina jest aktem zwyczajowym.

• Ponieważ okaleczenie w wyniku obrzezania jest minimalne, podobne do szczepienia przeciwko ospie, więc nie ma mowy o naruszeniu cielesności. W żaden sposób nie można go porównać z obrzezaniem dziewczynek w niektórych krajach muzułmańskich, które poprzez wycięcie warg sromowych, a niekiedy i lechtaczki, ma kobiecie odebrać przyjemność seksualną. To jest rzeczywiste okaleczenie i jest karalne. Na tej samej zasadzie zabronione jest praktykowane dawniej w Chinach krępowanie stóp dziewczynek czy kastrowanie młodych śpiewaków. Ale obrzezanie chłopców to co innego. Nie sprawia większego bólu, nie pozostawia wyraźnych szkód cielesnych i nie wywołuje psychicznej traumy. Więc o co chodzi?

Obrzezania powinni dokonywać nie tyle lekarze, ile utrzymywani przez gminy wyznaniowe reżacy, autoryzowani równocześnie przez państwo jako chirurdzy. W ten sposób można ukrócić rozpętana

przez kolońskich sędziów antyreligijną rewolucję kulturalną – kończy Spaemann.

Wywód filozofa sprowokował ostrą replikę prawnika. Werdykt koloński nie jest żadnym atakiem na tożsamość religijną rodziców, odpowiadał prof. prawa karnego Rolf Dietrich Herzberg. Sędziowie wydali przecież zaiste salomonowy wyrok: jako okaleczenie obrzezanie jest sprzeczne z prawem, ale sprawca nie ponosi winy. Zdaniem profesora wśród trójki sędziów, pani prokurator i obrońców werdyktu nie ma nikogo, kto miałby coś przeciwko wychowywaniu religijnemu. Oni potępiają jedynie bagatelizowanie tego, co archaiczny rytuał wyrządza bezbronnym dzieciom.

I można tego prawa rodzicom odmawiać, a równocześnie jak najbardziej być zwolennikiem religijnego wychowywania. Przecież już teraz – argumentuje Herzberg – nie brak Żydów, którzy zadowolają się symbolicznym obrzezaniem, jedynie dotykając noworodka skalpelem, a odcięcie napletka pozostawiając do czasu, gdy chłopiec sam będzie mógł podjąć decyzję, czy tego chce. Nawet najbardziej archaiczne obrządki się zmieniają. Najważniejsze dla religijnego wychowania chłopca jest przyjęcie go do wspólnoty religijnej, a nie odcięcie mu kawałka skóry. Konstytucja mówi wyraźnie, że wolność religii nie ogranicza, ale też nie zmienia praw i obowiązków obywatela. Kto odmówi udzielenia nagłej pomocy, ponieważ właśnie odmawiał różaniec, będzie tak samo pociągnięty do odpowiedzialności, jak każdy inny, kto jej zaniecha.

Prawo rodziców do decydowania o wychowaniu dziecka jest ograniczone względem jego dobra.

Argument, że obrzezanie daje dziecku ekwiwalent w postaci przymiotów metafizycznych i społecznych wynikających z przynależności do wspólnoty religijnej, jest zdaniem prawnika o tyle chybotliwy, że dla sądu brak integracji religijnej nie jest równoważny z zagrożeniem dobra dziecka. Świeckie prawo nie wymaga ani dopełnienia obowiązku chrztu, ani obrzezania.

Na to chłodne prawniczenie subtelnie odpowiada mieszkający na stałe w Wiedniu izraelski pisarz i historyk Doron Rabinovici. Przyznaje, że są poważne powody do odrzucenia obrzezania jako archaicznego i barbarzyńskiego rytuału, który zadając noworodkowi ból poddaje go patriarchalnej władzy. Niemniej nie wolno zapominać, że krytyka tego rytuału od wieków należy także do usprawiedliwienia prześladowania innowierców. Żydom zarzucano tępe upieranie się przy niewłaściwej wierze i ponurach rytuałach, z czym wiązało się oskarżanie, że każdy z nich ponosi winę za ukrzyżowanie Chrystusa. Pomawiając rzezańców – Żydów

i muzułmanów – o wyuzdanie seksualne projektowano na nich własny, rasistowski, łąk przed kastracją.

To z tych historycznych względów rzecznik Centrum Wiesenthala z Los Angeles ostro zaprotełował w sprawie werdyktu kolońskiego: Żydom i muzułmanom znów – z nieco inną niż dawniej argumentacją – zarzuca się rytualny ubój i rytualne obrzezanie. Stary stereotyp łączył jednych i drugich podobną żądzą krwi. Żydzi ostrzyli swoje nożyki, by z chrześcijańskich dzieci toczyć krew na mace, a muzułmanie wymachiwali krzywymi szablami.

Mimo to koloński werdykt ma także dobrą stronę. Połączył Żydów i muzułmanów w obronie rytuału. Rabinovici przyznaje, że nie można kolońskich prawników obwiniać o antysemickie i antyislamskie uprzedzenia. Wyrok nie jest w żadnej mierze wymierzony w religię. Sędziowie chcą tylko ochronić nienaruszalność cieleśną dziecka. Jednak ich sformułowanie, że zabieg jest „nie do naprawienia”, sugeruje trwałe szkody, co niezupełnie jest zgodne z prawdą.

Islam i judaizm nie przejmują się naukowymi wywodami, ważne są żelazne zasady religii lub tradycji. Dla Żydów obrzezanie nie jest odpowiednikiem chrztu, który dopiero czyni człowieka chrześcijaninem. Jest wykonywane w ósmym dniu po narodzinach dziecka, które już jest Żydem, i jedynie odnawia Przymierze. Jest rozpoznawczym znakiem tożsamości, który przypomina odejście od ofiary pierworodnego. Dlatego jest praktykowane również w rodzinach świeckich Żydów. To prawda, przyznaje Rabinovici, że nawet w Izraelu toczy się dyskusja, czemu upierać się przy okrutnym rytuale, którego sens dziś nie jest już tak wyraźny? Czemu nie oszczędzić niemowlakowi operacji? Dlaczego akt Przymierza mieliby powtarzać tylko chłopcy? Niewielka, ale jednak rosnąca, grupa Izraelczyków odchodzi od obrzezania. Niemniej fundamentalna różnica polega na tym, czy jest to ruch reformy wewnątrz grupy kulturowej, czy sądowy zakaz płynący z zewnątrz.

Ściganie lekarzy, którzy podejmują obrzezanie nowoczesnymi środkami, nie przerwie odwiecznego rytuału. Próbowano obrzezanie obłożyć karą śmierci w czasach Antiocha IV, prześladowano w średniowieczu, utrudniano w ZSRR. A mimo to Żydzi przy nim pozostali. Nie porzuca go także muzułmanie tylko dlatego, że niemieccy sędziowie im tego zabronią. Kryminalizacja jedynie zepchnie kult do podziemia i za granicę. Jeśli prawo naprawę ma na uwadze dobro dziecka, to raczej powinno stawiać nacisk na lepszą opiekę medyczną – konkluduje Rabinovici.

Niemieccy rabini wystąpili z apelem do niemieckiego ustawodawcy o za-

gwarantowanie prawa do obrzezania. „To z kolei wcale nie jest konieczne – twierdzi komentator liberalnej „Süddeutsche Zeitung”. – Wystarczy, by prawo nie karało. Prawo karne powinno się w tej sprawie wyciszyć – nawet jeśli obrzezanie pozornie spełnia cechy naruszenia cielesności”. Spór o obrzezanie Heribert Prantl porównuje z burzą po werdykcie Trybunału Konstytucyjnego w 1995 r. zakazującym umieszczania krzyży w pomieszczeniach publicznych. Wtedy sędziowie bronili zasady, że człowiek ma prawo żyć bez religii. Teraz spór się toczy o pozytywne prawo do religii, w które ingeruje werdykt koloński.

Budzi to gwałtowne reakcje, ale Prantl uspokaja: „Obrzezanie nie jest symbolem negacji porządku prawnego. Dla wielu jest jedynie odpychająco obce. Jeśli jednak krytycy obrzezania domagają się od Żydów i muzułmanów, by przemyśleli na nowo sens tego rytuału, to również muzułmanie i Żydzi mogą się od swych krytyków domagać zastanowienia, skąd w nich ten wybuch agresji i to wymądrzanie się. Obok fundamentalizmu religijnego ujawnił się teraz także fundamentalizm antyreligijny. Spór o obrzezanie jest prowadzony w równie nieprzejednanym tonie co swego czasu spór o chusty na głowach muzułmanek. To nie ma nic wspólnego z Oświeceniem. Oświecenie nie polega na wysmiewaniu się z innych. Społeczeństwo oświecone zachowuje wzajemny respekt”.

Niemiecki spór stał się częścią wielkiej debaty o miejsce religii w nowoczesnym, świeckim świecie.

Można w nim widzieć nowy huntingtonowski *clash of civilisations*, a nawet nową wersję sporu o inwestyturę. Co ważniejsze: prawo świeckie czy boskie, odwieczny rytuał czy oświeceniowa norma?

Armie nieprzejednanych fundamentalistów po obu stronach frontu są hałaśliwe, choć chyba niezbyt liczne. Jedna domaga się dosłownego przestrzegania prawnych zapisów ze świętych ksiąg. Druga – położenia kresu gustom i zaborom. Dialog, jak pogodzić różne racje i w życiu praktycznym zrelatywizować wartości absolutne, toczy się poza tymi dwiema armiami.

Zarówno religijny zdrowy rozsądek, jak i liberalizm oświecony wymagają empatii i zrozumienia dla drugiej strony oraz krytycznego spojrzenia na własne tradycje. W końcu świecki racjonalizm ma także religijne korzenie, natomiast kultury religijne od zarania dostosowują się do zmiennego ducha czasu.

ADAM KRZEMIŃSKI

O dyskusji wokół obrzezania słuchaj w programie „Nisza” w środę

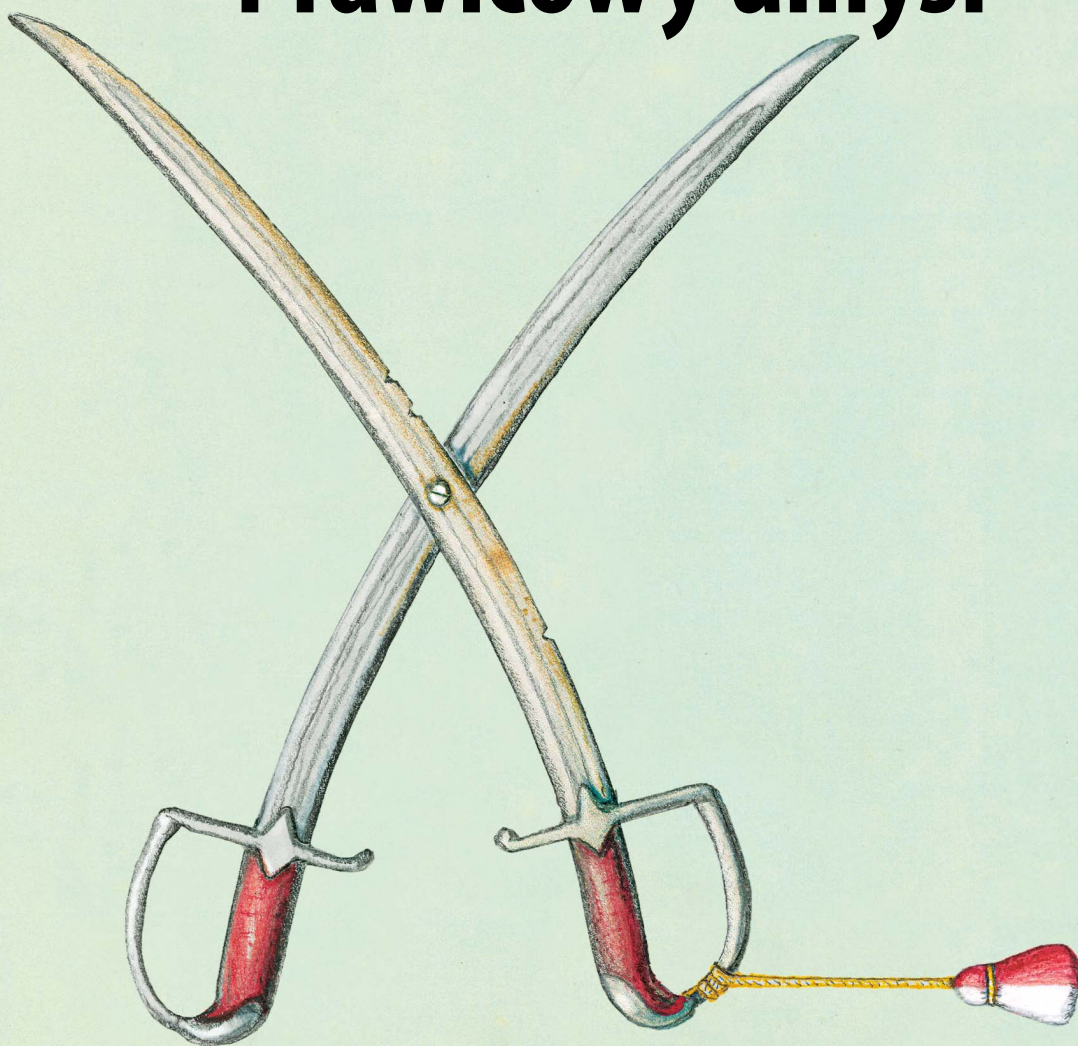
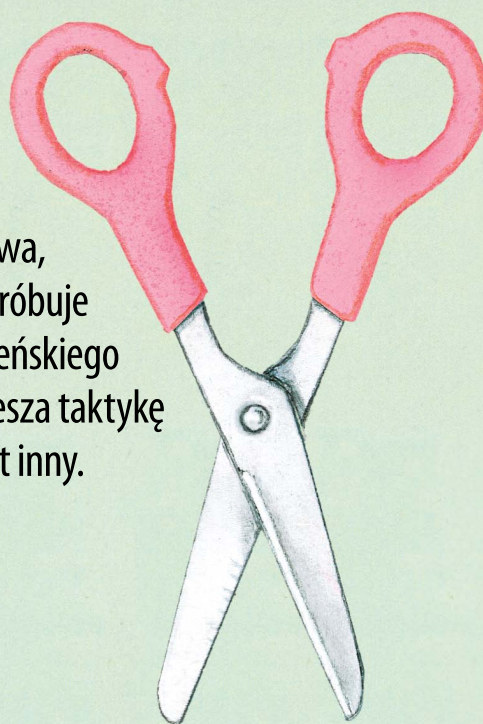


1 sierpnia o godz. 13.45. Zaprasza Jakub Janiszewski.

Cała dzisiejsza polityka, w tym prawicowa, jest zimna i wyrachowana. Kto zatem próbuje zrozumieć prawicę przez pryzmat smoleńskiego szaleństwa, popełnia duży błąd. Bo miesza taktykę ze stanem umysłu. Kłopot z prawicą jest inny. Ona nie zwariowała, po prostu się myli.

ROBERT KRASOWSKI

Prawicowy umysł



Pochylmy się nad prawicowym umysłem. Nad tym, co myślał prawicowi politycy i publicyści. **Otóż centralne miejsce stanowi niezgoda na rządy Donalda Tuska. Niezгода szczerza i głęboka. Jej powodów jest wiele.**

Po pierwsze, rząd Tuska uosabia to, czym prawica najbardziej się brzydzi. A zatem politykę minimalistyczną, pozbawioną ambicji, biernie dostosowującą się do realiów. Tymczasem prawica szczerze wierzy, że możliwa jest polityka wielkich wyzwań i wielkich celów. Tusk ze swoim prozaicznym projektem i asekuracyjnym stylem jest obiektem autentycznej pogardy. Prawica widzi w nim nie władcę, ale służę pokornie czapkującego wyborcom. Nie rozumie, jak można zgromadzić tak dużo władzy, a potem nie mieć odwagi, aby z niej korzystać.

Drugim powodem niechęci jest entuzjazm, jaki wzbudziły rządy Tuska. Ku zdumieniu prawicy jego atrapa polityki powszechnie się spodobała. W odpowiedzi na awanturniczy rozmach IV RP, z jej obietnicą przyszłego sukcesu, lider PO ogłosił, że nie ma potrzeby gonić za sukcesem. Bo ten już się dokonał. Polska już jest dostatnia, Polska już jest bezpieczna. A Polacy w to uwierzyli. Czujność, jaką w Polakach przez wieki rodziła kruchość naszej państwowości, nasza wielka egzystencjalna nieufność nagle wyparowała. W pięć lat – tak brzmi prawicowe oskarżenie – Tusk zamienił Polaków w lemingi, bezmyślne istoty pozbawione instynktu przetrwania.

To prowadzi do pretensji trzeciej, do poczucia, że Tusk na trwałe zmienił polską politykę. Rządy Platformy nie są postrzegane jako ruch politycznego wahadła, po którym wszystko wróci do dawnego stanu. Prawica uważa, że Tusk na stałe zdemoralizował Polaków. Zaniżył standardy uprawiania polityki. Strywializował jej cele. Sprymitywizował metody. Odarł rządzenie z należnego patosu. Z odpowiedzialności przed historią. Uczynił je sztuką przetrwania od sondażu do sondaża. Przetrwania, którego warunkiem jest ciągle schlebienie społeczeństwu. Od populistycznej retoryki po ochronę wszelkich ekonomicznych przywilejów. Prawicowa metafora mówiąca o Tusku jako obrońcy III RP opisuje system rządzenia, który polega na byciu zakładnikiem status quo. Bo w języku prawicy III RP to świat inercji. To pozór państwa, władza słaba i lękliwa, która nie narusza żadnych interesów grupowych. Ani rolników, ani oligarchów, ani kleru, ani nauczycieli.

I wreszcie pretensja czwarta, czyli kwestia smoleńska. Prawica postawiła krzyżyk na premierze właśnie po katastrofie. Dla niej był to test. Jedna z tych sytuacji, jakie bogowie zsyłają na śmiertelników, gdy chcą sprawdzić ich wartość. Zdaniem prawicy Tusk egzamin oblał. Pokazał, że nie jest przywódcą. Nie zrozumiał znaczenia wydarzenia. Tego, że w normalnym państwie prezydent nie ma prawa zginąć. Ani w czasie wojny, ani w czasie pokoju. Bo taka śmierć jest kosmiczną porażką państwa. Jego służb, jego aparatu. Porażką, po której trzeba umieć się podnieść, dowieść, że państwo nadal istnieje. I od tego jest śledztwo, mające być popisem twardości, determinacji i sprawności. Tusk temu nie sprostał. Zachował się jak cywil, skupił się na ceremoniach żałobnych, odpuszczając prawdziwą politykę. Wysłał do Rosji skromną ekipę, na niskim szczeblu, bez



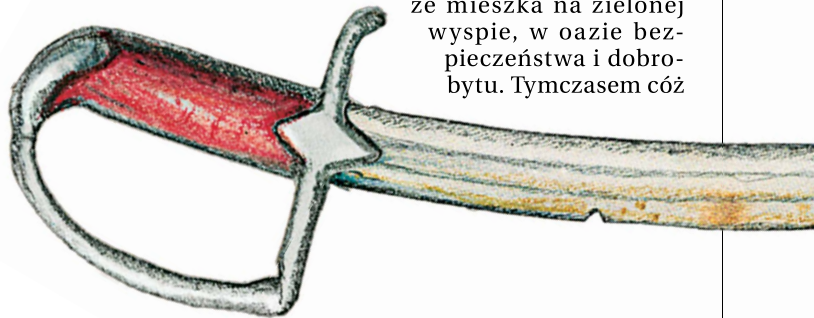
Robert Krasowski – publicysta i wydawca, absolwent filozofii UW. Założyciel i były red. naczelny konserwatywnego „Dziennika”. Obecnie współwłaściciel Wydawnictwa Czerwone i Czarne. Pracuje nad książkową historią III RP. Niedawno ukazał się I tom „Po południu. Upadek elit solidarnościowych po zdobyciu władzy”.

większych kompetencji. Nie udzielił jej wsparcia, nie stanął na jej czele, nie uczynił śledztwa państwowym priorytetem. Rosja robiła potem, co robiła, bo Tusk jej na to pozwolił.

Jest też drugi wątek smoleńskiej krytyki. Od początku było wiadomo, że główną przyczyną katastrofy był bałagan, zwłaszcza w Ministerstwie Obrony. Jednak, aby uniknąć wrażeń, że rząd przyznaje się do winy, ocenę podwładnych pozostawił Tusk przewlekłym procedurom. Premier, który jednego dnia w monarszym stylu wyrzucał z rządu Schetynę, Nowaka i Grupańskiego, tym razem się nie spieszył. To sprawiło, że katastrofa nie stała się dla państwa wstrząsem. Nawet minister Klich, który pierwszego dnia powinien z hukiem wylecieć, jeszcze przez rok kierował resortem. Widząc, że katastrofa, w której zginął prezydent i cała elita armii, okazała się wydarzeniem bez znaczenia, prawica zaostrzyła swoją diagnozę. Uznała, że Platforma reprezentuje nową kulturową formację. Polski dziedziczy i bezmyślnej. Polski beztroskiego pikniku, choćby na gruzach katastrofy. Polski, z którą nie można już rozmawiać. Bo ona nie mówi, ale gaworzy.

Tak narodziła się osobliwość dzisiejszej polskiej polityki. Owo obustronne wrażenie nienormalności przeciwnika. Lewa strona Polski naprzeciw siebie widzi „wariatów”, prawa z kolei widzi „idiotów”. Prawica uważa, że Polska Tuska jest w stanie hipnozy. Ona nie myśli, lecz śni. Wydaje się jej,

że mieszka na zielonej wyspie, w oazie bezpieczeństwa i dobrobytu. Tymczasem cóż



to za oaza, w której jednego dnia ginie prezydent, drugiego sąsiad wymierza siarczysty policzek, a trzeciego cały zewnętrzny ład staje na krawędzi rozpadu? Dla prawicy lata 2010–12 są najtrudniejszym momentem w najnowszych polskich dziejach. I w tym momencie na czele rządu stoi – jak powiada Rafał Ziemkiewicz – Piotruś Pan.

Po katastrofie zmienił się status Tuska. Przestał być przeciwnikiem, stał się wrogiem. Miarą tej wrogości była najbardziej ryzykowna decyzja w najnowszych dziejach prawicy, czyli akceptacja dla smoleńskiej strategii Jarosława Kaczyńskiego. Dla próby obalenia Tuska poprzez odwołanie się do ludzkiej głupoty, do jej wiary w spiski, zamachy i zdrady. Z początku metodę Kaczyńskiego powitano z konsternacją, ale czas wstydu szybko minął, dziś cieszy się już pełnym przyzwoleniem. Nie dlatego, że prawica jest szalona, tylko dlatego, że jest zderminowana. Uważa, że w wojnie z Tuskiem wszystkie chwytły są dozwolone. Zwłaszcza że Tusk sam się podłożył. Najpierw niezdarne prowadzonym śledztwem stworzył podstawy do budowy smoleńskiego mitu, potem biernie patrzył na to, jak wokół mitu zbierają się miliony wyznawców, a teraz, gdy mit zastęga w polityczną religię, nie robi nic, aby ją podważyć. Pół Polski kiwa głową ze zdziwienia nad brutalnością Macierewicza. Drugie pół z równym zdumieniem pochyla się nad Tuskiem. Cemu całą tematykę katastrofy oddał Macierewiczowi? Przecież wiadomo było, co z nią zrobi. Macierewicz nie musiał się nawet starać, przyszedł na gotowe.

Prawica tę wojnę akceptuje, ale jej nie lubi. Bo jest miarą jej dzisiejszego upadku. Kiedyś prawica wznosiła sztandary, na których były polityczne hasła, dziś widnieją na nich ludowe brednie. Kiedyś wygrywała wybory z poparciem młodzieży ►